

WIELKA OTWARTA PRZESTRZEŃ

Hanne Ørstavik, znana od połowy lat dziewięćdziesiątych powieściopisarka norweska, autorka cenionych próz eksperymentalnych oraz poczytnych powieści psychologicznych, urodziła się w północnym regionie Norwegii, Finnmarku, którego surowe i mroczne, lecz urzekające krajobrazy są nierzadko tłem jej dramatycznych powieści o skomplikowanych relacjach międzyludzkich: *Kjærlighet (Miłość, 1997)*, *Tiden det tar (Czas potrzebny, 2000)* czy najnowszej z nich, *Pastor* (w języku oryginału: *Presten, 2004*), wydanej w roku 2006 w Polsce, nakładem wydawnictwa słowo/obraz terytoria, w przekładzie i z komentarzem wybitnej norwegolożki z Uniwersytetu Gdańskiego, dr Marii Sibińskiej.

Ale Finnmark to nie tylko owe wspaniałe krajobrazy norweskiej północy: *widdy*, czyli rozległe tereny wyżynne, porośnięte roślinnością tundrową, z licznymi torfowiskami, głazami narzutowymi, małymi jeziorkami w skalnych nieckach i pojedynczymi wzniesieniami górującymi nad okolicą; *hjelle*, czyli wysokie, często wielopoziomowe konstrukcje z drewnianych pali, o kształcie spadzistych dachów, służące do suszenia ryb; surowe, dzikie fiordy, a w dalszej i nieskończonej perspektywie – olbrzymie, ciemne, puste morze. Finnmark to także Saamowie (poza Skandynawią nazywani Lapończykami), przedstawiciele sześćdziesięcio-, może osiemdziesięcioletniej społeczności koczowniczych paste-

rzy reniferów oraz półkoczowniczych myśliwych i rybaków, mieszkających w Norwegii, Szwecji, Finlandii i Rosji, na obszarze okolonym od południa norweskim jeziorem Femunden i szwedzką prowincją Dalarna, a od północy półwyspami Værenger i Kola. O losach, obyczajach i wierzeniach, kulturze i piśmienictwie tego narodu, przez pokolenia wynaradawianego i zmuszanego do asymilacji, pisze tłumaczka w krótkim komentarzu do *Pastora* zatytułowanym *O Saamach i buncie w Kautokeino*, ponieważ opisany tu i poddany wnikliwej analizie psychospołecznej niezwykle epizod z dziejów tego narodu jest czymś znacznie więcej niż tylko interesującym tem historyczno-psychologicznym powieści, jest jednym z trzech głównych jej wątków, spodem prawdy o istotnym – duchowym – znaczeniu powieściowych wydarzeń, zarówno zaprzeczonych, sprzed stu pięćdziesięciu lat, jak i przeszłych, sprzed roku, a także bieżących, prawdy, której tak rozpaczliwie i uparcie szuka bohaterka utworu, młoda teolożka Liv, pełniąca w małym północnonorweskim miasteczku funkcję pastora. Liv, której imię wywodzi się od norweskiego słowa *liv* – „życie”.

Ta trzydziestoczteroletnia kobieta, niezamężna i bezdzietna, przybyła tu, nad pięknie i groźnie wyglądające fiordy i nad ogromne, mroczne, puste morze, z Niemiec. Gdzie się urodziła, w jakich warunkach i pod czym wpływem dorastała, co przeżyła przez poprzednie lata, nie wiadomo, autorka nie poświęca jej dzieciństwu i młodości ani słowa. Za to wielokrotnie przywołuje – wykorzystując skłonność swej bohaterki do introwersji, do refleksji i autorefleksji, do reminiscencji wreszcie – czas jej pobytu w Niemczech, gdzie Liv najpierw krótko studiowała ekonomię społeczną, a potem, popchnięta gwałtownym jak nagła ulewa impulsem, przeniósł się na wydział teologii, którego zresztą również nie ukończyła, gdyż kolejny tajemniczy nakaz wewnętrzny pokierował ją na Północ, do trudnej służby kapłańskiej, w której miała urzeczywistnić swoją głęboką potrzebę i wolę niesienia pomocy potrzebującym. I gdzie jednocześnie spodziewała się zrozumieć istotne, lecz przesłonięte półprawdami przyczyny bun-

tu Saamów, który wybuchł właśnie tu, w fińskim Kautokeino, 8 listopada 1852 roku, i bardzo szybko zakończył się rozgromieniem, osądzeniem i skazaniem buntowników. Liv już podczas studiów w Niemczech zainteresowała się tym zadziwiającym – w przypadku spokojnych, nieskorych do przemocy, nie znających wojen Saamów – wydarzeniem, które w komentarzach historyków zostało przedstawione jednostronnie, z punktu widzenia strony zwycięskiej, norweskiej (listy biskupa do lensmana, protokoły urzędników), bez uwzględnienia racji strony przeciwnej, bez najmniejszej próby zrozumienia przyczyn saamskiej rewolty. Poruszona samobójczą w skutkach desperacją niewielkiej, bo ledwie trzydziestopięciosobowej grupy Saamów – ściśle, saamskich wyznawców kaznodziei Larso Levi Læstadiana, czyli lestadian, „sprawiedliwych”, „nawróconych” – Liv postanowiła zająć się dogłębnym zbadaniem owej niezwyklej sprawy w dysertacji doktorskiej. Musiała to zrobić – znów ulegając podpowiedzi płynącej od wewnątrz – czuła się bowiem w jakiś niepojęty dla niej samej i niezwykle istotny sposób związana ze zbuntowanymi Saamami, tak jakby ich walka była i jej walką, jakby i ona, tak jak kiedyś oni, była w drodze ku ostatecznemu rozrachunkowi. Rekonstruując w wyobraźni, z właściwą sobie skłonnością do empatii czy zgoda syntonii, nocną wyprawę „sprawiedliwych” do wsi kościelnej – pierwszą w dziejach Saamów próbę czynnego zmanifestowania niezgody na bezwzględną kolonizację saamskiej Północy, na wyzysk i dyskryminację jej prawowitych mieszkańców – Liv całą swą istotą była z nimi:

Zupełnie jakby to zdarzyło się teraz, tu, gdzie siedziałam, jakbym brała udział w tamtej podróży, tamta podróż odbyła się również we mnie, teraz, ja też byłam w drodze ku ostatecznemu rozrachunkowi. Ale ja nie otrzymałam niedawno języka, ja go utraciłam, utraciłam wszystko, na to wyglądało, i nie wiedziałam, przeciw czemu mam skierować swój gniew, nie było już tam tego, tak jak istniało dla nich, oni mogli walczyć ze zwierchnością, zarówno świecką, jak i duchową.

Nie, to tkwiło we mnie, to coś, przeciwko czemu miałam walczyć, było w mroku mojego wnętrza, węzeł, krawędź, znajdowałam się w tunelu i straciłam pochodnię, tak się czułam, takie panowały ciemności.

W tezie swej zamierzonej pracy naukowej młoda teolożka zawarła w pełni zasadne przekonanie, że bunt Saamów „unaocznili istniejące na wielu płaszczyznach linie napięcia, których punktem wspólnym stał się język” Biblii, a dokładnie Nowego Testamentu, wydanego w dialekcie północno-saamskim w roku 1840 przez pastora Nilsa Vibe Stockflettha. Ale nie „wierzchnia warstwa konfliktu”, dotycząca społeczeństwa i władzy, ją interesowała. Liv czuła – mówiąc właściwym jej językiem prawie niewyrażalnych przeczuć – że musi wnikać w coś, co tam istniało, w walkę, która była również jej walką i w której nie stała po jednej stronie, „ale po wszystkich stronach, w jej centrum”. Czy z powodu „tradycji kultury i władzy” – pytała i zastanawiała się, co znaczył dla nich wtedy, w połowie XIX wieku, i co znaczy dla nas teraz, na początku XXI stulecia, język, zwłaszcza swoisty, przypowieściowy kod Biblii, pełen symboli, niedopowiedzeń, wieloznaczności. W poszukiwaniu prawdziwej odpowiedzi zagłębiała w mroczne, głębinowe warstwy ludzkiej psychy, gdzie drzemią naturalne bodźce naszych poczynań. Bo to coś, co popchnęło spokojnych nomadów do przemocy i zbrodni, miało wprawdzie związek z językiem, lecz „nie z językiem samym w sobie, ale z tym, co było wewnątrz, w środku, z samą przyczyną języka, jądrem”; z tym, o czym opowiadała Biblia. Instynkt prawdy i sprawiedliwości, który cechował Liv w wysokim stopniu, jej samoświadomość i zdolność wczuwania się w odczucia i motywacje innych, doprowadził ją do następującej konkluzji:

Nikt nie został bez winy. Zabili nożem i siekierą, podpalili dom. To nie było czyste. Dla żadnej ze stron nie było to święte, czyste i piękne. Nikt nie miał racji. To, co miało być wspólne, otwarte, prawdziwe, zostało zbrukane i przeinaczone.

Ale było jeszcze coś. Coś w samym buncie, niespokromiona dzikość, ta cząstka ich, która czuła, że istnieje prawda. Pomyślałam, że czuli, jak to

się w nich szamoce i chce się wydostać na zewnątrz. Że chcieli i musieli to wydobyć, wyciąć, tak jak robili z zaszlachtowanym reniferem, znaleźć coś stałego, coś, co można trzymać w dłoniach, niczym żywe, lśniące, lekkie serce.

Tego czegoś wspólnego, otwartego, prawdziwego, a tak boleśnie, tak tragicznie nieosiągalnego, szukała Liv, z pasją i żarliwością poszukiwaczki świętego Graala, w swym codziennym życiu duszpasterskim, w reminiscencyjnych relacjach ze zmarłą tragicznie przed rokiem Kristiane, w odczytywanych z największą uwagą materiałach dotyczących wydarzeń w Kautokeino.

Pierwszoosobowa narracja powieściowa obejmuje trzy plany czasowe: teraźniejszy, przeszły i zaprzyszły, które splatają się, przenikają i dopełniają w sposób tak naturalny, jakby narratorka funkcjonowała jednocześnie w trzech różnych czasoprzestrzeniach: w małym miasteczku północnonorweskim, w którym dopiero co rozpoczęła pracę kapłańską; w niewymienionym z nazwy mieście niemieckim, w którym zaledwie przed rokiem pozyskała i utraciła przyjaźń Kristiany; w XIX-wiecznym Kautokeino, dokąd wyruszyła, intelektem i wyobraźnią, śladem saamskich buntowników.

Plan teraźniejszy jest planem zewnętrznej, zdarzeniowej akcji powieści, nader wątej w stosunku do akcji wewnętrznej, myślowej, wyobraźniowej, duchowej – obejmuje pięć marcowych dni roku 2002 (lub 2003), od niedzieli, dnia rozpoczęcia przez Liv pracy kapłańskiej w miasteczku, do piątku, dnia pogrzebu dziewiętnastoletniej samobójczyni. W tym krótkim czasie Liv jest prawie nieustannie w drodze: od pastorówki do miasta, z miasta do osady na wyspie i z powrotem, i jeszcze raz, i jeszcze, bo wciąż ktoś jej potrzebuje lub ona potrzebuje kogoś. Najważniejsza jest tu Nanna ze swoją rozpaczą po stracie męża i z niepokojem o córki: dorastającą Maję i małą Lillen, które Liv zabiera pod swój dach i pod swoją opiekę. Jest martwa dziewczyna spod *hjellu*, dla której Liv już nie może nic zrobić, ale którą pośmiertnie jako kapłanka musi się zająć. Są rodzice owej młodocianej desperatki, którzy przybywają w sprawie pogrzebu.

Potem znowu jest Nanna, szukająca oparcia u Liv po zamachu samobójczym Mai... No i są liczne inne „służbowe” podróże, m.in. do parafialnego Domu Kultury, gdzie młoda samotna kobieta nieoczekiwanie znajduje i zaraz traci, odrzuca swoją szansę na zwykłe kobiece szczęście; do *hjellu*, pod którym złożono ciało zdjętej ze sznura samobójczyni, oraz do miasta i na wyspę w poszukiwaniu ludzi, którzy mogliby wyjaśnić desperacki czyn dziewczyny; do Kautokeino, gdzie odbywa się sesja poświęcona roli Kościoła we współczesności; wreszcie do szpitala miejskiego, w którym umiera jej ulubienica Maja, zbuntowana jak tamta spod *hjellu*, skłócona ze sobą i światem, gniewna, szalona... i nie do zatrzymania.

Widok martwej dziewczyny na skale pod *hjellem* i obraz nieuchronnie „zapadającej się w dół”, wbrew ratunkowym wysiłkom lekarzy, Mai wywołują w umyśle Liv głębokie poruszenie i gwałtowne ożywienie emocji związanych z przeszłorocznym samobójstwem Kristiany, czterdziestoletniej artystki-lalkarki i animatorki teatru lalkowego, poznanej w starym niemieckim klasztorze i znanej ledwie przez czterdzieści dni, istoty, której oszałamiająca lekkość wydała się ciężkiej – „brodzącej w ciężkim śniegu własnych myśli” – Liv obietnicą idealnego zrozumienia i niezawodnego wsparcia. Tymczasem – ku jej bolesnemu rozczarowaniu – nie kryła w sobie nic prócz chłodu pustki i rozpacz. Ale o tym miała się Liv dowiedzieć po tragicznej śmierci czterdziestodniowej przyjaciółki, ze swego karygodnego – we własnej ocenie – przeoczenia miała zdać sobie sprawę, gdy już nie można było nic naprawić. Żal, poczucie winy, poczucie niemożliwości przeniknięcia drugiego człowieka i zatrzymania go, utrzymanie, gdy znajdzie się nad krawędzią, stały się z tą chwilą głównymi motywami jej myślenia i postępowania, jej wyborów i decyzji. Obraz strzelającej do siebie Kristiany – obraz wyobrażony, nie zapamiętany – zapadł w jej świadomość tak głęboko, że wszystko, co spotkało ją potem, postrzegała i pojmowała poprzez ten straszny fakt. Sens ludzkiego istnienia po samobójczej śmierci lalkarki stanął pod znakiem zapytania, a życiowa wędrówka Liv

stała się wędrówką „na drugi koniec samej siebie”, do tego czegoś w sobie, co dobre, ciepłe i kochające, ale także do tego, co przeciwne, mroczne, zimne i nieruchome, a co jest.

Młodej kapłance, absolutnie samotnej i bezradnej po utracie wiary – a więc zasady istnienia – przyświeca teraz przemożna chęć dotarcia do jakiegoś stałego punktu, który pozwoliłby dać odpór rozpacz, uwolnić się od autodestrukcyjnego przeświadczenia o własnej niepotrzebności i niszczytelności, pozbyć się poczucia nieustannego spadania bez nadziei na osiągnięcie dna... (bo przecież z Biblii nie da się stworzyć jednej spójnej płaszczyzny). Przyświeca jej pragnienie, by wszystko, co stanowi zasadę i esencję życia, było otwarte i ogromne, a nie „trzymane w zamknięciu i na uwięzi”. By było takie, jak to, co spadło na nią, niczym olśnienie czy objawienie, wraz z owym pamiętnym ulewnym deszczem, i sprawiło, że w mgnieniu oka postanowiła poświęcić się kapłaństwu, gdyż zrozumiała, że istnieje coś, co jest większe od tego, o czym mówią systemy, teorie, modele. Coś dużo, dużo, dużo większe.

Jednak nadzieja młodziutkiej studentki Liv, że studia teologiczne otworzą przed nią ową wymarzoną otwartą i ogromną przestrzeń i pozwolą jej do niej wejść, by prawdziwie istnieć, okazała się płonna. Nic nie dało „szukanie znaczeń w dźwiękach, nie tylko w semantyce, ale i w sposobach, w których słowa kryły w sobie doświadczenie”, nie było w nich łącznika z „owym ogromem”. Została więc na zewnątrz, nie weszła do życiodajnej przestrzeni. A teraz, złamana, pusta, stała nad morzem, pod *hjellem*, z którego jeszcze zwisał strzęp sznura samobójczyni, i czuła na twarzy podmuchy zimnego wiatru. Stała jednocześnie w „zimnym, bladym słońcu w kruzgankach klasztoru”, w którym spotkała Kristiane, i nie mogła sobie darować ślepoty i głuchoty na emitowane przez nią sygnały rozpacz. I słyszała wzbierający w niej krzyk sprzeciwu:

Nie mów, że nie istnieje. Nie umniejszaj tego. Nie sprawiaj, by stało się ciasne i niepokojące. Cokolwiek by to było, jakkolwiek by to było.

Zostaw w spokoju. Pozwól – by istniało.

Lektura powieści Hanne Ørstavik jest odkrywczą i zdobywczą wyprawą ku ogromnej otwartej przestrzeni, która jest, istnieje, lecz poza słowami, w wewnętrznej sferze ludzkich niewyraźnych odczuć, przeczuć, wrażeń, doznań i wyobrażeń. Norweskiej pisarce udało

się do niej zbliżyć za pomocą stylistyki nie-domówień, a polska tłumaczka zdołała stworzyć interesujący wariant języka niemal pozasłownego.

Maria Jentys